



KEN FOLLETT

ZAMIEĆ



Dwaj zmęczeni mężczyźni popatrywali na Antonię Gallo z niechęcią, jeśli nie wrogością w oczach. Skończyli już na dzisiaj, chcą iść do domu, a ta ich przetrzymuje. A co gorsza ma po temu uzasadnione powody.

Siedzieli we trójkę w biurze działu kadr Oxenford Medical. Antonia, dla znajomych Toni, była dyrektorem technicznym i odpowiadała głównie za bezpieczeństwo. Oxenford, niewielki zakład farmaceutyczny — firma butikowa w żargonie giełdowym — prowadził badania nad zabójczymi wirusami. Bezpieczeństwo stanowiło tu więc sprawę życia i śmierci.

Toni przeprowadziła właśnie wyrywkową kontrolę w laboratoriach i stwierdziła brak dwóch dawek eksperymentalnego leku. Sprawa wyglądała poważnie: lek ten, środek antywirusowy, opracowywano w najściślejszej tajemnicy i jego formuła była bezcenna. Ktoś mógł go wykraść z zamiarem odsprzedań konkurencyjnej firmie. Lecz inna, o wiele bardziej niepokojąca ewentualność sprawiała, że na usianej piegami twarzy Toni malował się niepokój, a pod jej zielonymi oczami widać było ciemne kręgi. Otóż złodziej mógł wykraść lek do osobistego użytku. Gdyby tak właśnie było, wniosek nasuwał się tylko

jeden: ktoś został zainfekowany jednym ze śmiertelnych wirusów wykorzystywanych w laboratoriach Oxenford.

Laboratoria te mieściły się w wielkim dziewiętnastowiecznym budynku wzniesionym w Szkocji przez jakiegoś wiktoriańskiego bogacza z przeznaczeniem na wakacyjną rezydencję. Z racji podwójnego ogrodzenia, drutu kolczastego, umundurowanych strażników i najnowocześniejszego systemu monitoringu budynek nazywano „Kremlem”. Ale z tymi spiczastymi łukami okien, wieżą i rzędami gargulców pod okapem dachu bardziej przypominał kościół.

Na biuro działu kadr wydzielono jedną z najbardziej okazałych sypialni. Miała gotyckie okna i ściany obite tkaniną, ale zamiast rzeźbionych szaf na ubrania stały tam teraz szafki na akta, a miejsce toaletek zastawionych kryształowymi flakonikami i szczotkami o posrebrzanych rączkach zajęły biurka z komputerami i telefonami.

Toni i dwaj towarzyszący jej mężczyźni siedzieli przy telefonach, obdzwaniając wszystkie osoby mające wstęp do BSL-4* — laboratorium o zagwarantowanym czwartym, najwyższym poziomie biobezpieczeństwa. W BSL-4 naukowcy ubrani w hermetyczne, podobne do skafandrów kosmicznych kombinezony pracowali na co dzień z wirusami, na które nie wynaleziono jak dotąd szczepionki ani antidotum. Ponieważ było to najlepiej zabezpieczone pomieszczenie w budynku, tam właśnie przechowywano próbki eksperymentalnego leku.

Do BSL-4 nie każdemu wolno było wejść. Upoważnieni musieli ukończyć szkolenie z zakresu postępowania w warunkach zagrożenia biologicznego, dotyczyło to nawet techników, którzy przeprowadzali okresowe przeglądy filtrów powietrza i konserwowali autoklawy. Toni również przeszła takie szkolenie, żeby móc wchodzić do laboratorium w ramach kontroli bezpieczeństwa.

* BSL — *biosafety level*

Z osiemdziesięciu zatrudnionych przez firmę pracowników, wstęp do BSL-4 miało tylko dwudziestu siedmiu. Wielu z nich rozjechało się już jednak na bożonarodzeniowe urlopy i chociaż kradzież wykryta została w poniedziałek wieczorem, to zaczął się już wtorek, a trójce pracowników ochrony nie udało się jeszcze dotrzeć telefonicznie do wszystkich.

Toni połączyła się z ośrodkiem wypoczynkowym Le Club Beach na Barbadosie i nie bez trudu uprosiła zastępcę kierownika, żeby poszukał na terenie ośrodka młodej laborantki nazwiskiem Jenny Crawford.

Czekając, zerknęła na swoje odbicie w szybie. Nawet dobrze wyglądała, zważywszy na tak późną porę. Czekoladowobrazowy kostium w delikatne białe prążki nadal prezentował się schludnie, fryzura bez zarzutu, twarz nie zdradzała zmęczenia. Jej ojciec był Hiszpanem, ale jasną cerę, zielone oczy i gęste rudoblond włosy odziedziczyła po matce Szkotce. Wysoka, zadbana. Całkiem nieźle, pomyślała, jak na trzydziestoośmiolatkę.

— Przecież tam u was chyba teraz głucha noc! — W słuchawce odezwał się wreszcie głos Jenny.

— Stwierdziliśmy pewną niezgodność między tym, co wpisano do książki rozchodów BSL-cztery, a stanem faktycznym — wyjaśniła Toni.

— To się już zdarzało — prychnęła lekceważąco Jenny. Była trochę wstawiona. — I nikt jakoś nie robił z tego afery.

— Bo ja tu jeszcze wtedy nie pracowałam — powiedziała szorstko Toni. — Kiedy ostatnio wchodziłaś do BSL-cztery?

— Chyba w środę. Nie masz tego w komputerze?

Miała, ale chciała sprawdzić, czy wersja Jenny pokryje się z zapisem komputerowym.

— A kiedy ostatnio zaglądałaś do krypty? — Kryptą nazywano stojącą w BSL-4 lodówkę, zamykaną na elektroniczny zamek szyfrowy.

— Nie pamiętam — głos Jenny stawał się coraz bardziej cierpki — ale powinnaś to mieć na wideo.

Drzwi krypty otwierało się, wystukując na klawiaturze dotykowej kod zamka. Z chwilą wprowadzenia kodu, włączała się automatycznie nakierowana na kryptę kamera systemu bezpieczeństwa i pracowała aż do ponownego zatrzaśnięcia drzwi.

— Przypominasz sobie, kiedy ostatni raz miałaś do czynienia z Madobą-dwa? — Był to wirus, nad którym pracowali aktualnie naukowcy z Oxenford.

— O jasna cholera, to jego się nie doliczyliście?! — krzyknęła autentycznie wstrząśnięta Jenny.

— Nie, nie jego. Ale...

— Z wirusem jako takim do czynienia nigdy nie miałam. Pracuję głównie w laboratorium hodowli tkanek.

To też zgadzało się z informacjami, jakie posiadała Toni.

— Czy w ciągu ostatnich tygodni nie rzuciło ci się czasem w oczy, że któryś z kolegów zachowuje się dziwnie, w sposób dla siebie nietypowy?

— No nie, ty tobyś się, kurczę, nadawała na gestapówę — obruszyła się Jenny.

— Niech ci będzie, czy zauważyłaś...

— Nie, nie zauważyłam.

— Jeszcze tylko jedno pytanie. Temperaturę masz w normie?

— O kurczę pieczone, chcesz przez to powiedzieć, że mogłam złapać Madobę-dwa?

— Masz katar albo gorączkę?

— Nie!

— No to możesz spać spokojnie. Wyjechałaś z kraju jedenaście dni temu. Gdyby coś było nie tak, miałabyś już objawy infekcji grypopodobnej. Dziękuję ci, Jenny. To prawdopodobnie jakiś błąd w książce rozchodów BSL-cztery, ale musimy dmuchać na zimne.

— Zepsułaś mi wieczór, jeśli chcesz wiedzieć. — Jenny rozłączyła się.

— Przykro mi — mruknęła Toni do głuchej słuchawki

i odkładając ją, oznajmiła: — Jenny Crawford sprawdzona. Głupia krowa, ale czysta.

Bujna siwa broda podchodziła dyrektorowi laboratoriów, Howardowi McAlpine'owi, aż pod kości policzkowe, przez co skóra wokół jego oczu przywodziła na myśl różową maseczkę balową. Miał opinię skrupulanta, ale bez skłonności do pedantyzmu, i Toni dobrze się z nim zwykle pracowało. Teraz jednak humor wyraźnie mu nie dopisywał. Odchylił się na oparcie krzesła i splótł dłonie na potylicy.

— Istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że materiał, którego się nie doliczyłeś, został spożytkowany w całkowicie legalnych celach przez kogoś, kto po prostu zapomniał dokonać stosownych wpisów do książki rozchodów. — W jego głosie pobrzmiwała irytacja; powtarzał to już trzeci raz.

— Obyś miał rację — mruknęła Toni bez przekonania. Wstała i podeszła do okna. Z biura działu kadr widać było dobudówkę, w której mieściło się laboratorium BSL-4. Nowy budynek z wysokimi wąskimi kominami oraz wieżą zegarową nawiązywał stylem do reszty Kremla i postronnemu obserwatorowi trudno byłoby odgadnąć, w której części kompleksu zlokalizowane jest tajne laboratorium. Ale sklezione łukowo okna nowego budynku były matowe, rzeźbionych dębowych drzwi nie dało się otworzyć, a otoczenie obserwowały kamery telewizji przemysłowej, ukryte w potwornych łbach gargulców. Był to betonowy bunkier ucharakteryzowany na wiktoriańską rezydencję. Miał trzy kondygnacje. Właściwe laboratoria i magazyny mieściły się na parterze. Również na parterze znajdowało się izolowane ambulatorium z pełnym wyposażeniem do poddawania kwarantannie i otaczania intensywną opieką medyczną osób, które zaraziły się groźnym wirusem. Jak dotąd nie trafił tam żaden pacjent. Piętro zajmowała aparatura klimatyzacyjna. W piwnicy skomplikowana instalacja utylizowała wszelkie odpadki pochodzące z budynku. Za wyjątkiem ludzi na zewnątrz nie miał prawa wydostać się żaden żywy organizm.

— Ten incydent wiele nas nauczył — powiedziała ugodowo Toni. Ależ niezręczna sytuacja, pomyślała. Obaj mężczyźni byli od niej starsi zarówno rangą, jak i wiekiem, obaj przekroczyli już pięćdziesiątkę. Nie mogła im rozkazywać, nalegała tylko, żeby potraktowali wykryty niedobór w kategoriach kryzysu. Lubili ją obaj, zdawała sobie jednak sprawę, że przeciąga strunę. Z drugiej strony czuła, że musi naciskać. Gra szła tu przecież o bezpieczeństwo publiczne, reputację firmy i, co tu ukrywać, jej karierę. — Na przyszłość musimy dysponować aktualnymi numerami telefonów do wszystkich mających dostęp do BSL-cztery, obojętne, w jakiej części świata akurat się znajdują, żeby w nagłym wypadku można się było szybko z nimi skontaktować. A kontrolę książki rozchodów trzeba przeprowadzać częściej niż raz do roku.

McAlpine odchrząknął. Jako dyrektor laboratoriów był odpowiedzialny za książkę rozchodów i nastrój tak naprawdę psuła mu świadomość, że sam powinien był wykryć niedobór. Operatywność Toni stawiała go w złym świetle.

Spojrzał na drugiego mężczyznę, dyrektora działu kadr.

— Ile osób z listy mamy już odfajkowanych, James?

James Elliot oderwał wzrok od ekranu komputera. Ubierał się jak makler giełdowy — garnitur w jodełkę, krawat w groszki — pewnie chciał się w ten sposób odróżnić od tweedowych naukowców. Przepisy bezpieczeństwa uważał za bzdurną biurokrację, może dlatego, że sam nie pracował z wirusami. Toni miała go za nadętego głupka.

— Z dwudziestu siedmiu osób, które mają wstęp do BSL-cztery, rozmawialiśmy już ze wszystkimi, oprócz jednej — powiedział. Mówił z przesadną precyzją zmęczonego nauczyciela, który tłumaczy coś najbardziej tępemu uczniowi w klasie. — Wszyscy powiedzieli, kiedy ostatnio wchodzili do laboratorium i otwierali kryptę. Nikt nie zauważył, żeby któryś z kolegów dziwnie się ostatnio zachowywał. I nikt nie ma gorączki.

— Ta brakująca osoba to kto?

— Michael Ross, laborant.

— Znam go — powiedziała Toni. Michael Ross był nieśmiałym, inteligentnym mężczyzną koło trzydziestki. — Byłam nawet raz u niego w domu. Mieszka jakieś piętnaście mil stąd.

McAlpine przesunął palec na koniec listy.

— Pracuje w firmie od ośmiu lat i cieszy się nienaganną opinią — wymruczał. — Do laboratorium wchodził ostatnio w niedzielę, trzy tygodnie temu, by przeprowadzić rutynową kontrolę zwierząt.

— Co robi od tamtego czasu? — spytała Toni.

— Jest na urlopie.

— Od kiedy? Od dwóch tygodni?

— Miał wrócić dzisiaj — wtrącił Elliot i spojrzął na zegarek. — To znaczy, wczoraj. W poniedziałek rano. Ale się nie pojawił.

— Dzwonił, że jest chory?

— Nie.

Brwi Toni powędrowały w górę.

— I nie można się z nim skontaktować?

— Nie odbiera ani domowego telefonu, ani komórki.

— Nie wydaje ci się to dziwne?

— Że młody nieżonaty mężczyzna przedłuża sobie urlop, nie uprzedzając o tym pracodawcy? — Elliot wzruszył ramionami. — Co w tym dziwnego?

Toni zwróciła się znowu do McAlpine'a:

— Powiedziałeś, że Michael ma nienaganną opinię.

Dyrektor laboratoriów stropił się.

— Jest bardzo sumienny. To do niego niepodobne, żeby bez usprawiedliwienia opuścił dzień pracy.

— Kto był z Michaeliem, kiedy wchodził ostatnio do laboratorium? — spytała Toni. Michael musiał mieć kogoś do towarzystwa, ponieważ do BSL-4 wchodziło się tylko parami. Ze względu na zagrożenie nikomu nie wolno było pracować tam w pojedynkę.

McAlpine sprawdził na liście.

— Doktor Ansari, biochemik.

— Nie znam takiego.

— To kobieta. Ma na imię Monica.

Toni podniosła słuchawkę.

— Jaki jest do niej numer?

Monica Ansari mówiła z edynburskim akcentem i trochę bełkotliwie, wybudzona widać z głębokiego snu.

— Howard McAlpine już raz do mnie dzwonił.

— Przepraszam, że znowu panią niepokoję.

— Coś się stało?

— Chodzi o Michaela Rossa. Nie możemy się z nim skontaktować. Podobno dwa tygodnie temu, w niedzielę, wchodziła z nim pani do BSL-cztery.

— Tak. Chwileczkę, zapalę tylko światło. — Krótka pauza. — Boże, to już ta godzina?

— Następnego dnia Michael szedł na urlop — podjęła Toni.

— Pamiętam. Powiedział mi, że wybiera się do matki, do Devon.

Toni coś zaświtało. Przypomniała sobie teraz, po co jeździła do domu Michaela Rossa. Jakieś pół roku temu, w trakcie luźnej rozmowy w stołówce, napomknęła, że bardzo podobają jej się portrety starych kobiet Rembrandta, na których mistrz wiernie, z pietyzmem oddaje każdą zmarszczkę, każdą fałdkę skóry. Z tego widać, powiedziała, jak bardzo Rembrandt musiał kochać swoją matkę. Michael rozpromienił się wtedy i powiedział, że ma kilka reprodukcji akwafort Rembrandta, które wyciął z czasopism i katalogów domu aukcyjnego. Po pracy pojechała do niego obejrzeć te akwaforty. Były to gustownie oprawione portrety starych kobiet, zajmowały całą ścianę niewielkiego living roomu. Bała się trochę, że Michael potraktuje tę wizytę jak randkę — lubiła go, ale nie do tego stopnia — jednak ku jej uldze okazało się, że on naprawdę chciał jej tylko pokazać swoją kolekcję. Podsumowała go w duchu jako maminsynka.

— To istotna informacja — powiedziała teraz do Moniki. —

Proszę się jeszcze nie rozłączać. — Zakryła dłonią słuchawkę i zwróciła się do Jamesa Elliota: — Mamy w jego aktach numer telefonu do matki?

Elliot poruszył myszką i kliknął.

— Tak, jest tu wpisana jako najbliższa krewna. — Sięgnął po słuchawkę.

Toni wróciła do rozmowy z Moniką:

— Czy tamtego popołudnia Michael zachowywał się normalnie?

— Jak najbardziej.

— Weszliście do BSL-cztery razem?

— Tak. Potem, rzecz jasna, zamknęliśmy się w oddzielnych przebieralniach.

— Czy kiedy weszła pani do właściwego laboratorium, on już tam był?

— Tak, przebrał się szybciej.

— Miała go pani przez cały czas w zasięgu wzroku?

— Nie. Ja zajmowałam się kulturami tkanek w bocznym laboratorium. Michael był u zwierząt.

— Wyszliście razem?

— On wyszedł parę minut przede mną.

— A więc mógł zajrzeć do krypty i pani by o tym nie wiedziała?

— Tak.

— Co pani myśli o Michaelu?

— Normalny facet... chyba nieszkodliwy.

— Tak, to dobre określenie. Wie pani może, czy ma dziewczynę?

— Nie sędzę.

— Czy pani zdaniem jest atrakcyjny?

— Sympatyczny, owszem, ale nieseksowny.

Toni uśmiechnęła się.

— Otóż to. Zauważyła może pani w jego zachowaniu jakieś odstępstwa od normy?

— Nie...

Toni wyczuła wahanie i milczała, dając kobiecie czas na zastanowienie. Obok Elliot rozmawiał z kimś, pytając o Michaela Rossa albo jego matkę.

Monica odezwała się po dłuższej chwili:

— Bo chyba to, że ktoś mieszka sam, nie świadczy jeszcze, że coś z nim jest nie tak, prawda?

Elliot mówił właśnie do słuchawki:

— Tak, bardzo dziwne. Przepraszam, że zawracałem głowę o tej porze.

Zaintrygowana tymi słowami Toni uznała, że pora kończyć rozmowę z Moniką.

— Dziękuję pani, Moniko. Mam nadzieję, że nie wybiłam pani ze snu.

— Mąż jest lekarzem rodzinnym — odparła Monica. — Przywykliśmy do telefonów w środku nocy.

Toni odłożyła słuchawkę.

— Michael Ross miał mnóstwo czasu na otwarcie krypty — oznajmiła. — I mieszka sam. — Spojrzała na Elliota. — Dodzwoniłeś się do jego matki?

— Tam mieszkają teraz jacyś staruszkowie — mruknął Elliot. Wyglądał na zdezorientowanego. — A pani Ross zmarła zeszłej zimy.

— O cholera — zaklęła Toni pod nosem.

Silne reflektory systemu bezpieczeństwa oświetlały wieże i szczyty dachów Kremla. Temperatura spadła do pięciu kreszek poniżej zera, ale niebo było czyste i nie zanosiło się na śnieg. Budynek stał w wiktoriańskim ogrodzie pełnym starych drzew i krzewów. Księżyc w trzeciej kwadrze oblewał szarą poświatą nagie nimfy pluskające się w suchych fontannach, których strzegły kamienne smoki.

Zalegającą tu ciszę zmaćił warkot silników dwóch wyjeżdżających z garażu furgonetek. Obie oznakowane były międzynarodowym symbolem biozagrożenia — cztery pęknięte czarne kręgi na jaskrawożółtym tle. Strażnik przy bramie uniósł już szlaban. Samochody przejechały pod nim, skrzyły z piskiem opon i pognały na południe.

Toni Gallo siedząca za kierownicą pierwszej furgonetki prowadziła wóz jak swojego porsche, zawłaszczając całą szerokość drogi, żyłując silnik, biorąc zakręty na pełnym gazie. Poganiał ją strach, że może już być za późno. Jechało z nią trzech specjalistów od dekontaminacji. Druga furgonetka była izolatką na kołach; prowadził ją sanitariusz, obok niego siedziała doktor Ruth Solomons.

Toni z jednej strony przerażała myśl, że jej czarny scenariusz może się ziścić, z drugiej bała się, że jest w błędzie.

Zarządziła czerwony alarm, nie mając na uzasadnienie tej decyzji niczego, prócz swoich podejrzeń. A przecież lek, jak to sugerował Howard McAlpine, mógł zostać wykorzystany całkowicie legalnie przez kogoś z naukowców, który po prostu zapomniał umieścić w książce rozchodów stosowny wpis. Niewykluczone też, że Michael Ross naprawdę samowolnie przedłużył sobie urlop, a historia z jego matką okaże się zwykłym nieporozumieniem. Jeśli tak, to ktoś na pewno uzna, że Toni zareagowała zbyt nerwowo. Jak typowa histeryczka, nie omieszkła dodać James Elliot. Kto wie, czy nie zastanę Michaela Rossa śpiącego sobie smacznie we własnym łóżku, z wyłączonym telefonem pod poduszką, i Toni aż się skrzywiła na myśl, co w takim przypadku powie rano swojemu szefowi Stanleyowi Oxenfordowi.

Jeśli jednak się okaże, że przeczucie ją nie myli, sytuacja będzie o wiele gorsza.

Pracownik nie wraca w określonym dniu z urlopu; wcześniej kłamał co do swoich planów urlopowych; a z krypty znikają próbki nowego leku. Czyżby Michael Ross zrobił coś, co naraziło go na zainfekowanie śmiertelnościami wirusem? Lek znajdował się jeszcze na etapie prób i nie był skuteczny w przypadku wszystkich wirusów, ale Michael mógł uznać, że lepsze to niż nic. Cokolwiek chodziło mu po głowie, chciał mieć pewność, że przez dwa tygodnie nikt nie zadzwoni do niego do domu, więc skłamał, że wyjeżdża do Devon, do matki, która już od dawna nie żyje.

Monica Ansari powiedziała: „To, że ktoś mieszka sam, nie świadczy jeszcze o tym, że coś z nim jest nie tak, prawda?”. Sformułowanie typowe dla przypadku, kiedy co innego się mówi, a co innego myśli. Biochemiczka wyczuwała w Michaelu coś dziwnego, lecz jako racjonalnie myślący naukowiec miała awersję do wysnuwania daleko idących wniosków w oparciu o samą tylko intuicję.

Toni zaś była zdania, że intuicji nigdy nie należy lekceważyć.

Wolała nie myśleć o konsekwencjach wydostania się Mado-by-2 na zewnątrz. Wirus był bardzo zaraźliwy, rozprzestrzeniał się szybko drogą kropelkową poprzez kasłanie lub kichanie. I był zabójczy. Przeszedł ją dreszcz zgrozy, mocniej wcisnęła pedał gazu.

Droga na szczęście była pusta i już po dwudziestu minutach zajechali pod stojący na uboczu domek Michaela Rossa. Dojazd nie był wyraźnie zaznaczony, ale Toni go zapamiętała. Skrzyła w krótką alejkę prowadzącą do niskiego budynku z kamienia otoczonego murkiem. W oknach było ciemno. Toni zatrzymała furgonetkę obok volkswagena golf'a należącego przypuszczalnie do Michaela. Zatrąbiła długo i głośno.

Nic. Światło się nie zapaliło, nikt nie otworzył drzwi ani okna. Toni zgasiła silnik. Cisza.

Jeśli Michael wyjechał, to co tu robi jego samochód?

— Stroje króliczków, panowie, jeśli łaska — rzuciła do członków ekipy.

Zaczęli zakładać pomarańczowe kombinezony. Za ich przykładem poszedł zespół medyczny z drugiej furgonetki. Nie było to zadanie łatwe, bo kombinezony wykonane były z grubego, mało elastycznego tworzywa sztucznego. Zapinało się je na hermetyczny zamek błyskawiczny. Pomogli sobie nawzajem przymocować rękawice do nadgarstków taśmą izolacyjną. Na koniec powsuwali plastikowe stopy kombinezonów w gumowe buty.

Kombinezony były hermetycznie szczelne. Noszący je ludzie oddychali przez filtr HEPA — High Efficiency Particulate Air Filter, czyli wysoko skuteczny filtr powietrza z elektrycznym wentylatorkiem zasilanym z akumulatora przypiętego do pasa. Filtr zatrzymywał wszelkie unoszące się w powietrzu cząsteczki, na których mogły znajdować się zarazki bądź wirusy. Jeśli chodzi o zapachy, to przepuszczał tylko te najintensywniejsze. Wentylatorek szumiał nieustannie, co niektórych drażniło. Mikrofon i słuchawki zainstalowane w hełmie umożliwiały porozumiewanie się między sobą oraz — poprzez kodowany kanał radiowy — z centralą w Kremlu.

Kiedy byli już gotowi, Toni ponownie spojrzała na dom. Ktoś, kto wyrzałby teraz przez okno i zobaczył siedem istot w pomarańczowych kombinezonach, uwierzyłby w istnienie kosmitów i UFO.

Jeśli jednak ktoś był w środku, to przez okno nie wyrzał.

— Wchodzę pierwsza — oznajmiła Toni.

Stąpając sztywno w krępującym ruchu ubiorze, podeszła do frontowych drzwi. Zadzwoiła i zastukała kołatką. Odczekawszy parę chwil, obeszła budynek. Na tyłach znajdował się dobrze utrzymany ogród, w głębi majaczyła drewniana szopa. Tylne drzwi nie były zamknięte na klucz. Weszła. Pamiętała, jak stała kiedyś w tej kuchni, a Michael parzył herbatę. Obeszła wszystkie pomieszczenia, w każdym zapalając światło. Na ścianie living roomu nadal wisały reprodukcje Rembrandta. Wszędzie było czysto, schludnie i pusto.

— Nikogo nie ma — powiadomiła przez radio resztę ekipy. Słyszała w swoim głosie nutkę rozczarowania.

Dlaczego nie zamknął drzwi na klucz? Może już nie wróci?

To był cios. Gdyby zastali Michaela, zagadka szybko by się wyjaśniła. Teraz czekają ich mozolne poszukiwania. Przecież on może być wszędzie. Trudno powiedzieć, ile czasu upłynie, zanim go znajdą. Wzdrygnęła się na samą myśl o tych nerwowych dniach, a kto wie czy nie tygodniach.

Wyszła do ogrodu. Dla spokoju sumienia sprawdziła drzwi szopy. One też nie były zamknięte. Kiedy je otwierała, w nos połaskotał ją nieprzyjemny i dziwnie znajomy zapach. Musiał być bardzo intensywny, skoro przedostał się przez filtr. Chyba krew, pomyślała. W szopie musiało cuchnąć jak w rzeźni.

— Boże — mruknęła.

— Co tam masz? — spytała Ruth Solomons.

— Jedną chwileczkę. — W drewnianym baraczkę było ciemno, choć oko wykol: nie miał okien. Toni namacała kontakt. Kiedy zabłysło światło, krzyknęła.

W słuchawkach hełmu rozpętała się wrzawa, pozostali członkowie ekipy pytali jeden przez drugiego, co się stało.

— Chodźcie tu szybko! Do ogrodowej szopy. Ruth pierwsza.

Na podłodze z desek leżał na wznak, w kałuży krwi, Michael Ross. Krew ciekła mu ze wszystkich otworów: z oczu, nosa, ust, uszu. Toni nie potrzebowała lekarza, żeby stwierdzić, że to obfity krwotok wielonarządowy — symptom klasyczny dla Madoby-2 i podobnych infekcji. Michael był w tej chwili bardzo niebezpieczny dla otoczenia, jego ciało stanowiło tykającą bombę z zabójczym wirusem. Ale żył. Klatka piersiowa unosiła się i opadała, z ust wydobywał się cichy bulgot. Przykucnęła, uklękła w kałuży lepkiej, świeżej krwi i pochyliła się nad nim.

— Michael! — krzyknęła przez plastikową osłonę hełmu. — To ja, Toni Gallo z laboratorium!

W jego krwawych oczach zatliła się iskierka świadomości. Chyba ją usłyszał. Otworzył usta i coś wybełkotał.

— Co? — krzyknęła. Pochyliła się niżej.

— Nie działa — powtórzył. I zwymiotował. Struga czarnej cieczy, która bluznęła mu z ust, ochlapała osłonę hełmu Toni. Wiedziała, że chroni ją kombinezon, ale mimo to cofnęła się odruchowo z okrzykiem obrzydzenia.

Ktoś ją odsunął. Nad Michaeliem pochyliła się Ruth Solomons.

— Puls ledwie wyczuwalny — stwierdziła. Otworzyła Michaelowi usta i palcami obleczonej w rękawicę dłoni oczyściła mu jako tako gardło z krwi i wymiocin. — Laryngoskop, szybko! — Po chwili do szopy wpadł sanitariusz z przyrządem. Ruth wepchnęła go Michaelowi w usta, udrażniając gardło, żeby łatwiej mu było oddychać. — Dawaj tu nosze z izolatki, tylko na jednej nodze. — Otworzyła torbę lekarską i wyjęła z niej napelnioną już strzykawkę. Pewnie morfina i coś na poprawę krzepliwości krwi, pomyślała Toni. Ruth wbiła Michaelowi igłę w szyję i nacisnęła tłoczek. Kiedy cofnęła strzykawkę, z dziurki po nakłuciu pociekł nowy strumyczek krwi.

Toni zalała falą współczucia. Przypomniała sobie Michaela

chodzącego po Kremlu, pijącego herbatę w swoim domu, rozprawiającego z ożywieniem o akwafortach: widok tego zmaltretowanego przez chorobę ciała stał się przez to jeszcze bardziej bolesny i tragiczny.

— Dobra — rzuciła Ruth — zabieramy go stąd.

Dwaj sanitariusze dźwignęli Michaela z ziemi i wynieśli na zewnątrz, gdzie czekały nosze na kółkach przykryte przezroczystym plastikowym namiotem. Wsunęli pacjenta przez otwór z jednej strony namiotu, który następnie uszczelnili i potoczyli nosze przez ogród.

Przed wejściem do ambulansu musieli odkazić siebie i nosze. Jeden z członków zespołu Toni wyjął już płytką plastikową wianienkę przypominającą dziecięcy brodzik. Doktor Solomons i jej sanitariusze wchodzili do niej kolejno i spryskiwali się silnym środkiem dezynfekującym, który zabijał wszelkie wirusy, utleniając ich proteiny.

Toni przyglądała się temu ze świadomością, że każda sekunda zwłoki zmniejsza szanse Michaela na przeżycie, zdawała sobie jednak sprawę, że jeśli chcą uniknąć dalszych ofiar, procedura odkażania musi być rygorystycznie przestrzegana. Nie mogła sobie darować, że z jej laboratorium wydostał się na świat śmiertelny wirus. W historii Oxenford Medical jeszcze się to nie zdarzyło. Niewielkim pocieszeniem było to, że miała rację, robiąc tyle szumu wokół zniknięcia próbek leku, podczas gdy jej koledzy starali się rzecz zbagatelizować. Jej obowiązkiem było do tego nie dopuścić, i nie wywiązała się z niego. Czy w konsekwencji biedny Michael umrze? Czy będą dalsze śmiertelne ofiary?

Sanitariusze wsunęli nosze do ambulansu. Doktor Solomons usiadła koło pacjenta. Zatrzaśnięto drzwi i karetka odjechała w noc.

— Mów mi, co się dzieje, Ruth — rzuciła Toni do mikrofonu. — Możesz się ze mną łączyć poprzez hełm.

Głos Ruth słabł jednak w słuchawkach wraz z powiększającą się odległością.